



Zane Grey
OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część pierwsza



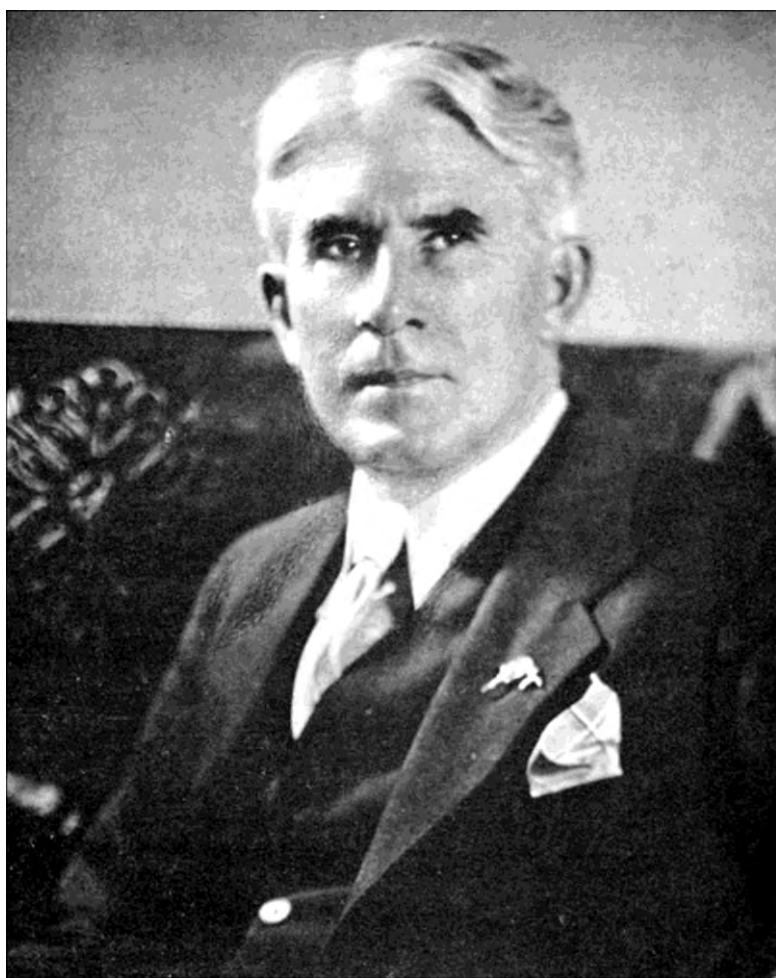
43

ISBN 978-83-66980-58-7 (całość)
ISBN 978-83-66980-59-4 (część pierwsza)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Zane Grey

**OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część 1**



Pearl Zane Grey urodził się 31 stycznia 1872 roku w Zanesville w stanie Ohio – w mieście, którego współzałożycielami byli jego przodkowie ze strony matki, a zmarł w Altadena, w Kalifornii, 23 października 1939 roku.

Był jednym z najpopularniejszych i najwyżej ocenianych autorów powieści o Dzikim Zachodzie, współtwórcą gatunku literackiego zwanego dziś westernem. Jego dorobek twórczy ocenia się na około 90 książek (głównie powieści), z których ponad dwie trzecie to westerny. Pozostawił po sobie wiele książek dla młodzieży, w tym biografię młodego Jerzego Waszyngtona, publikacje poświęcone swoim wielkim pasjom: bejsbolowi – w który grywał w czasie studiów, a później przez pewien czas półzawodowo – oraz wędkarstwu, a także liczne zbiory opowiadań.

Miłośnik dzieł J.F. Coopera i D. Defoe, a także zeszytowych powieści przygodowych, studiował stomatologię, ale głównie po to, by uzyskać stypendium sportowe. Praktykę dentystyczną porzucił potem na rzecz pisarstwa, podobnie imię Pearl. Debiutował wydaną w 1903 roku powieścią historyczno-przygodową *Betty Zane*, otwierającą trylogię o jego przodkach z początków Stanów Zjednoczonych. Wydał ją własnymi siłami po odrzuceniu przez wydawnictwo Harper & Brothers.

Przełom w jego twórczości nastąpił dopiero w 1912 roku, gdy to samo wydawnictwo opublikowało, nie bez oporów redaktora naczelnego, *Jeźdźców krainy purpurowej bylicy*. Powieść okazała się bestsellerem – po dziś dzień należy do najpopularniejszych dzieł Greya. Harper wydał też wcześniejsze jego książki, w tym *Ostatni mieszkaniec równin*, a kariera Greya nabrała niepokonanego rozpędu. Dziś uchodzi za jednego z pierwszych amerykańskich pisarzy milionerów. Doceniono nie tylko umiejętność snucia fascynujących opowieści, ale i dbałość o realia, wiążącą się z jego częstymi podróżami w poszukiwaniu inspiracji.

Jego westerny doczekały się 46 pełnometrażowych ekranizacji i 31 krótszych. Nie był to jedyny związek Zane'a Greya z filmem. W roku 1919 powołał własną wytwórnię filmową. Sprzedana jakiś czas potem, stała się częścią podwalin wielkiego Paramountu.

W Polsce w latach międzywojennych i tuż po wojnie ukazało się w sumie kilkanaście przekładów powieści Zane'a Greya, głównie nakładem wydawnictwa M. Arct. W 1951 roku jego książki zostały objęte zapisem cenzury, nakazującym także niezwłoczne wycofanie ich z bibliotek. Powracać tam i do księgarni zaczęły dopiero w 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, i to niekoniecznie tych najciekawszych lub najlepszych.



Zane Grey



OSTATNI Z DUANE'ÓW
Część 1

Przełożył i przypisami opatrzył Janusz Pultyn

Sto pięćdziesiąta dziewiąta publikacja Wydawnictwa JAMAKASZ

Czterdziesty trzeci tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Last of the Duanes

© Copyright for the Polish translation by Janusz Pultyn, 2023

12 kolorowych ilustracji: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations by Dariusz Kocurek, 2023

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak

Redakcja i korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda
Skład: Andrzej Zydorczak

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2023

Nakład: 200 egz.

Egzemplarz nr

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-66980-55-6 (całość)
ISBN 978-83-66980-56-3 (cz. 1)

Druk i oprawa: Totem.com.pl Sp. z o.o. Sp. Komandytowa
88-100 Inowrocław, ul. Jacewska 89

Rozdział I

atem objawiło się to w nim – odziedziczony instynkt walki, nieodparty pociąg do zabijania. Był ostatnim z Duane'ów, starego, bitnego teksańskiego rodu. To jednak nie pamięć o jego zmarłym ojcu, nie ciche prośby matki, nie ostrzeżenia wuja, w tej chwili stojącego przed nim sprawiły, że Buck Duane tak jasno zdawał sobie sprawę z buzujących w nim skłonności do mrocznych pasji. Nie. Powiedziały mu to częste nawroty dziwnej gwałtowności, przez poprzednie trzy lata powtarzające się z ciągle narastającą mocą.

– Tak, Cal Bain jest w mieście. Opił się lichej whisky i poluje na ciebie – powtórzył poważnie starszy mężczyzna.

– Już po raz drugi – szepnął Duane jakby do siebie samego.

– Nie zdołasz uniknąć spotkania, synku. Wynieś się z miasta, dopóki Cal nie wytrzeźwieje. Na trzeźwo nie ma do ciebie urazy, tylko jak się upije.

– Ale czego on ode mnie żąda? – zapytał Duane. – Znowu chce mnie znieważyć? Drugi raz mu nie daruję.

– Chłopcze, złapał gorączkę, która szerzy się teraz w Teksasie. Chce pojedynku na rewolwery. Jeśli cię spotka, to próbuje zabić.

Duane poczuł teraz znowu, że krew mu się zagotowała, jakby całe jego wnętrze ogarnęły płomienie. Gdy to przeszło, został w nim dziwny chłód.

– Zabić mnie? Za co?

– Bóg świadkiem, że nie ma powodu, ale dziś są takie czasy, że ludzie biorą się do strzelania o byle co. Czyż u Everalla pięciu kowbojów nie padło w bójce, bo pokłócili się o bat i tyle wystarczyło? A Cal nie ma cię za co lubić. Jego dziewczyna wdzięczyła się do ciebie.

– Dowiedziałem się, że jest jego i dałem jej spokój.

– Ale ona chyba nie daje za wygraną. Zresztą pal sześc ją i wody. Cal jest tutaj, na tyle pijany, że się wścieka i rwie do zabicia

kogoś. Lubi udawać rewolwerowca i chce u ludzi uchodzić za złego. Pełno tutaj zdziczałych kowbojów, żądnych takiej sławy. Przechwalają się, który prędzej strzela. Małpują Blanda¹, Kinga Fishera², Hardina³ i wszelkich innych głośnych rozbójników. Odgrają się, że przystaną do band grasujących nad Rio Grande. Wyśmiewają się z szeryfów i chełpią się, jak to sobie poradzą ze Strażnikami. Z Cala nie powinienes nic sobie robić. Tylko nie wchodź mu w drogę.

– Czyli miałbym uciec? – pogardliwie zapytał Duane.

– Tak bym nie powiedział. Wystarczy, żebyś go unikał. Nie bałbym się też o ciebie, gdyby doszło do waszego spotkania. Masz oko i szybko chwytającą broń rękę ojca. Najbardziej się boję, że połóżysz Baina.

Duane milczał, wchłaniając poważną przestrozę starszego krewnego i starając się pojąć w pełni jej znaczenie.

– Jeżeli Teksas podźwignie się kiedy po tej głupiej wojnie i wytepi banitów, młodzi będą mieli widoki na przyszłość – ciągnął wuj. – Masz już dwadzieścia trzy lata i pod każdym względem jesteś jak się patrzy. Jedyna twoja wada, to ta popędliwość. Możesz dobrze urządzić się w życiu, ale jeżeli weźmiesz się do strzelania, jeżeli zabijesz człowieka, będziesz zgubiony. Wtedy zabijesz drugiego. Ta sama historia stara jak świat. Strażnicy ogłoszą cię przestępcą. Strażnicy bronią w Teksasie prawa i porządku. Z nimi nie ma równej walki. Nie dasz się aresztować, to palną ci w łeb. A jeśli dasz się im aresztować, to pójdziesz do więzienia, a kto wie, czy nie zawiśniesz na szubienicy.

– Niedoczekanie – warknął Duane.

– Pewnie, że nie – odparł starszy mężczyzna. – Wdałeś się w ojca. On zawsze był gotów strzelać bez zastanowienia. W dzisiejszych cza-

¹ Billy Bland (?-1877) – amerykański przestępca, rewolwerowiec z Teksasu, zginął w strzelaninie w Fort Griffin w Teksasie.

² John King Fisher (1853-1884) – amerykański przestępca, rewolwerowiec z Teksasu, przywódca bandy urządzającej napady na Meksyk, później farmer, krótko szeryf, zginął w zasadzce w Austin.

³ John Wesley Hardin (1853-1895) – amerykański przestępca, rewolwerowiec z Teksasu, zabił rzekomo 42 ludzi, w roku 1875 skazany na 25 lat więzienia, uwolniony w 1894, napisał autobiografię.

sach, kiedy Strażnicy Teksasu¹ zaprowadzają prawo, dla twojego tatki nie byłoby tu miejsca. Ach, synku, strach mi, żeś jest kubek w kubek taki sam. Czy nie możesz trzymać się w karbach, siedzieć cicho, wszelkie kłopoty omijać z dala? Przecież w końcu tylko ty na tym stracisz. Twojego ojca zabito w bójkę na ulicy. Opowiadali, że dostał kulkę w serce i jeszcze zdążył strzelić dwa razy, tak straszna była w nim zawziętość. Jeżeli masz podobną naturę, to trzymaj ją na uwięzi.

– Wszystko, co wuj mówi, to czysta prawda – zgodził się Duane – ale wynika stąd, że jedynym dla mnie wyjściem jest ucieczka, a tego nie zrobię. Przez Cala Baina i jego kompanów już wyglądam na tchórze. Gadają, że boję się stanąć z nim do rozprawy. W naszym kraju nie można puszczać takich rzeczy płazem. A zresztą, jeżeli nie stawię mu czoła, to któregoś dnia strzeli mi w plecy.

– No to co zamierzasz zrobić?

– Nie wiem tego... jeszcze.

– Nie wiesz, ale rychło się zdecydujesz. Przeklęta krew w twych żyłach robi swoje. Jużes jest inny niż wczoraj. Pamiętam, jakżeś się dąsał, złościł, gadał od rzeczy. Wtedy zbytnio się o ciebie nie bałem. Dzisiaj już żeś wystygł, uspokoił, zamyślasz się głęboko i masz w oczach taki ogień, że aż człowieka bierze strach. Przypominasz mi tym swego ojca.

– Ciekaw jestem, co by mi tatko dziś poradził, gdyby żył i był tutaj – powiedział Duane.

– A jak myślisz? Czego chciałbyś się spodziewać po człowieku, który przez dwadzieścia lat ani razu nie włożył rękawiczki na prawą rękę?

– No, mało co by rzekł. Tatko nie lubił gadać. Wolał działać. Pewnikiem pójdę na miasto i pokażę się Bainowi.

Zapadło długie milczenie. Duane siedział ze spuszczonej oczami, jego wuj wyglądał na pogrążonego w smutnych rozważaniach o przyszłości. Wreszcie spojrzał na młodszego mężczyznę z miną

¹ *Strażnicy Teksasu* (ang. Texas Rangers) – amerykańska jednostka typu policyjnego założona w 1835 r., sformowana jednak około dziesięciu lat wcześniej dla ochrony pogranicza nowo powstałego stanu Teksas.

wyrażającą rezygnację, ale też zdecydowanie wskazujące, że w obu płynęła jednakowa krew.

– Masz rączego konia, w okolicy nie znam szybszego. Kiedy już rozprawisz się z Bainem, to spiesz do domu. Będę miał dla ciebie spakowane rzeczy i osiodłanego konia.

Po tych dziwnych słowach obrócił się na pięcie i poszedł do siebie, pozostawiwszy Duane'a zastanawiającego się nad nimi. Buck nie był właściwie pewny, czy jego spotkanie z Bainem zakończy się takim wynikiem, jakiego był pewny jego wuj. Nie wiedział, co myśleć. Jednak zaledwie powziął postanowienie, ledwie sobie powiedział, że pójdzie się rozprawić z Bainem, ogarnęło go podniecenie tak gorące, jakby dostał nagłej febry. Wszystko to działo się jednak w jego duszy, w środku, gdyż ręce miał nieruchome niby głąz i nie dostrzegał, aby zadrżał w nim choćby jeden mięsień. Nie czuł strachu przed Bainem ani przed nikim innym. Doświadczał jedynie mętnej obawy przed sobą, przed jakąś dziwną siłą, jaką dostrzegał w sobie, toteż potrząsał głową rozważając wszystko po kolei. Wychodziło na to, że sam jeszcze wszystkiego w tej sprawie nie rozstrzygał. Poczul w sobie opór powstrzymujący go przed wyjściem, ale jakiś głos, jakiś daleki duch, słowem siła, za którą nie odpowiadał, ponaglała do działania. W tej godzinie Duane jakby przeżył całe lata. W tej godzinie stał się człowiekiem dojrzałym.

Wszedł do domu i założył pas z rewolwerem.

Miał ciężkiego, sześciostrzałowego Colta kalibru 45¹, z rękojeścią wykładaną kością słoniową. Nosił go, z przerwami, już pięć lat. Przedtem należał do jego ojca. Na wypukłej części rękojeści z kości słoniowej wycięte były karby. Z tej właśnie broni ojciec Bucka strzelił dwa razy, trafiony w serce. Jego zeszytniałe palce tak mocno zacisnęły się na kolbie, że trudno je potem było rozewrzeć. Odkąd rewolwer przeszedł w posiadanie syna, nigdy jeszcze nie został wyciągnięty z kabury przeciwko komuś. Chłód i gładkość rękojeści świadczyły

¹ *Colt kaliber 45* – rewolwer produkowany przez amerykańską spółkę Colt's Patent Firearms Manufacturing Company od roku 1872, używany przez armię USA do 1892, sześciostrzałowy, długości 33 cm, wadze ponad 1 kg, używający pocisków o kalibrze 0,45 cala, bardzo popularny na Dzikim Zachodzie.

jednak, jak często broń była używana. Duane potrafił dobywać ją z niewiarygodną szybkością i z odległości dwudziestu stóp trafiał do postawionej karty.

Duane wolał uniknąć spotkania z matką. Na szczęście zgodnie z jego przewidywaniami nie było jej w domu. Wyszedł i ruszył ścieżką ku furtce. Powietrze przesyczone było wonią kwiatów i głosami śpiewających ptaków. Przy drodze stała sąsiadka rozmawiająca z siedzącym na wozie farmerem. Oboje odezwali się do Bucka, ten ich usłyszał, lecz nie odpowiedział. Poszedł szybko w stronę miasta.

Miasteczko Wellston¹, choć małe, wiele znaczyło w owej małej jeszcze zaludnionej części ogromnego stanu, gdyż stanowiło ośrodek handlowy w okolicy liczącej kilkaset mil kwadratowych powierzchni. Przy głównej ulicy wznosiło się może z pięćdziesiąt budynków drewnianych i murowanych, przeważnie z niewypalanej cegły, w jednej trzeciej z nich, tych najlepiej utrzymanych, mieściły się szynki. Duane od razu z drogi skręcił w ową ulicę. Wzdłuż szerokiej jezdni z obu stron znajdowały się konowiązy², przy których stały osiodłane konie. Nie brakowało najrozmaitszego rodzaju wozów. Duane jednym spojrzeniem omiótł całą tę ulicę, szczególną uwagę zwracając na leniwie chodzących ludzi. Nie dostrzegł ani jednego kowboja. Duane zwalniał kroku i kiedy docierał do pierwszego z brzegu szynku – Sola White’a – ledwo już siedł. Został zagadnięty przez kilku przechodniów, którzy oglądali się za nim, gdy już ich minął. Zatrzymał się przy drzwiach baru, szybkim wzrokiem omiótł jego wnętrze, po czym wszedł do środka.

Izba szynku była duża i chłodna, pełna dymu, ludzi i hałasu.

Wejście Duane’a uciszyło gwar; słysząc było jedynie dobiegające od stołu do monte³ dzwonienie srebrnych meksykańskich do-

¹ *Wellston* – nazwę tę nosi kilka miejscowości w Stanach Zjednoczonych, ale żadna nie leży w Teksasie; według artykułu Kevina Blake’a *The Geography of the Lone Star Ranger* („Zane Grey Review”, t. 30, nr 4, 2015, s. 8-11), miasto było wzorowane na Uvalde w stanie Texas, leżące 140 km na zachód od San Antonio, założone w roku 1853, mające obecnie 15 tys. mieszkańców.

² *Konowiąz* – urządzenie w postaci poziomej belki służące do przywiązywania koni.

³ *Monte* – hiszpańska hazardowa gra karciana, po roku 1848 popularna w Teksasie, potem w całej zachodniej części Stanów Zjednoczonych; używa się do niej talii 40-

larów¹. Na jego widok stojący za kontuarem Sol White wyprostował się, rzucił okiem na przybysza i bez słowa wrócił do wycierania szklaneczek. Wzrok wszystkich obecnych, z wyjątkiem graczy, Meksykanów, spoczął na postaci Duane'a. Były to spojrzenia przenikliwe, oceniające, pytające. Ludzie ci wiedzieli, że Bain szukał guza. Najpewniej słyszeli jego przechwałki. Co jednak zamierzał uczynić Duane? Kilku kowbojów i ranczerów² wymieniło spojrzenia. Nieomylny instynkt teksański, instynkt ludzi, którzy nie rozstają się z rewolwerami, mówił im, co sądzić o tym młodym człowieku. Chłopak wdał się w ojca. Dlatego też pozdrowiwszy go, wrócili do swoich kart i trunków. Sol White oparł na ładzie wielkie, czerwone dłonie. Był wysokim, potężnie zbudowanym Tekszańczykiem o długich wąsikach nawoskowanych w ostre szpice.

– Jak się masz, Buck? – pozdrowił go niedbale, odwracając na chwilę mroczne spojrzenie.

– Jak się masz, Sol? – odparł wolno Duane. – Słuchaj no, podobno jest w mieście pewien gość, pilnie chcący się ze mną spotkać?

– A jakże, Buck. Zaszedł tutaj z godzinę temu. Cosik go ukąsiło i złościł się jak wszyscy diabli. Rzekł mi w zaufaniu, że jakaś panica dała ci białą, jedwabną apaszkę i że chciałby jak cholera wziąć ją sobie, ale wpierw musi ją skropić na czerwono.

– Czy był z kimś? – zapytał Duane.

– Tak, byli jeszcze Burt, Sam Outcalt i jakiś mały kowboj, którego przedtem nie widział. Namawiali go, żeby się wyniósł z miasta, ale on widzi tylko kieliszek, Buck, i jedynie on go tu trzyma.

– Dlaczego szeryf Oaks nie zamknie Baina, skoro jest z nim taki kłopot?

kartowej, gra przeciwko bankierowi, określa się tak również niektóre wersje trzykartowego pokera.

¹ *Meksykański dolar* – srebrna moneta wartości ośmiu realów, wprowadzona w Hiszpanii w 1497 roku, bita także w koloniach hiszpańskich w Ameryce, następnie w państwach powstałych z tych kolonii, jak Meksyk, gdzie określano tak tradycyjnie peso; również dolary USA wywodzą się od tych monet hiszpańskich.

² *Ranczerzy* – właściciele rancza, z hiszpańskiego *rancho*, jak w Ameryce nazywa się duże gospodarstwa rolne, zajmujące się głównie hodowlą bydła.

– Oaks wyjechał ze Strażnikami. Znów napadnięto na ranczo Fleshera. Pewnie to banda Kinga Fishera. Dlatego w mieście może każdy hulać jak chce.

Duane wyszedł z szynku i spojrzał na ulicę. Przemierzył ją całą, spotykając wielu ludzi – farmerów, ranczerów, urzędników, kupców, Meksykanów, kowbojów, kobiety. Kiedy wszakże zawrócił, to, dziwna sprawa, spostrzegł, że ulica była niemalże pusta. Nie zdążył przejść sto jardów, a już nie było na niej nikogo. Jedynie z drzwi i zza węglów wystawały głowy kilku osób. Na głównej ulicy Wellstonu takie sytuacje zdarzały się co kilka dni. Mieszkańcy Teksasu instynktownie potrafią walczyć, lecz mają również instynkt natychmiastowego wyczuwania oznak nadciągającej strzelaniny. Przestrzega ich szybciej jeszcze niż plotka i nim upłynęło dziesięć minut, wszyscy znajdujący się na ulicy lub w sklepach wiedzieli już, że Buck Duane szuka swojego przeciwnika.

Młody mężczyzna podązał dalej. Kiedy znalazł się pięćdziesiąt kroków od szynku, przeszedł na środek ulicy, przystanął tam na chwilę, a potem wrócił na chodnik. Powtarzał to na całej długości ulicy. Sol White stał na progu swojego szynku.

– Buck, uprzedzam cię – powiedział cichym i szybkim głosem. – Cal Bain jest u Everalla. Jeżeli tak zawzięcie poluje na ciebie, jak się chełpi, to się tu pojawi.

Duane przeszedł na drugą stronę ulicy i zaczął iść z powrotem. Pomimo ostrzeżenia White'a był ostrożny i zwalniał przy każdych drzwiach. Do niczego jednak nie doszło i pokonał niemal całą ulicę nie ujrawszy żywej duszy. Szynk Everalla znajdował się na rogu.

Duane wiedział, że jest chłodny i spokojny, a zarazem był świadom dziwnej wściekłości pchającej go do gwałtownego działania. Zdawał się owego spotkania wyczekiwać mocniej, niż wszystkiego innego, czego pragnął w całym swoim dotychczasowym życiu. Pomimo wszakże intensywności doznań odnosił wrażenie, że śni. Jeszcze przed dojściem do szynku Everalla dobiegły go głośnie krzyki, z których jeden był szczególnie wrzaskliwy. Niskie drzwi otworzyły się, jakby pchnięte silną ręką i na chodnik runął krzywonogi kowboj

w wełnianych nogawicach¹. Na widok Duane'a skoczył na równe nogi i wydał dziki ryk.

Buck zatrzymał się na skraju chodnika może o tuzin prętów² od drzwi baru Everalla. Jeśli Bain był pijany, to nie zdradzał tego swoimi ruchami. Zbliżał się szybkimi, pewnymi krokami. Zaczerwieniony, spocony, rozczochrany, bez kapelusza, z wykrzywioną twarzą wyrażającą gorącą żądzę mordu, przedstawiał dziki i złowrogi widok. Już zabił człowieka i okazywał to swoim zachowaniem. Szedł z wyciągniętymi przed siebie rękoma, prawą trzymając trochę niżej niż lewą. Każdy krok podkreślał wyrażającym nienawiść wrzaskiem, złożonym głównie z przekleństw. Stopniowo zwalniał, aż w końcu się zatrzymał. Mężczyzn dzieliło dobre dwadzieścia pięć kroków.

– Czy nigdy nie dobędziesz broni, ty...? – wrzasnął wściekle.

– Czekam na ciebie, Cal – odpowiedział Duane.

Prawa ręka Baina zeszytywniała – lekko się poruszyła. Duane wyciągnął rewolwer w podobny sposób, jak chłopiec rzucający skrycie piłkę³. Tej sztuczki nauczył go ojciec. Za spust pociągnął dwa razy, ale oba wystrzały niemal złąży się w jeden. Ogromny colt Baina wypadł, kiedy był jeszcze zwrócony lufą w dół, a jego właściciel upadał. Kula wbiła kurz i żwir u nóg Bucka. Napastnik miękko, bez drgawek, osunął się na ziemię.

W mgnieniu oka Duane odzyskał poczucie rzeczywistości. Podszedł, trzymając broń przygotowaną na najdrobniejszy nawet ruch Baina. Ten jednak leżał na wznak, a poruszały mu się tylko pierś w oddechu i oczy. Bardzo dziwne, jego twarz przestała być czerwona i wykrzywiona. Diabeł wystąpił z Baina, był teraz trzeźwy i świadomy. Próbował coś powiedzieć, ale nie zdołał. Jego oczy wyrażały coś żałośnie ludzkiego. Zmieniły wyraz – przekreśliły się – stały się puste.

¹ *Nogawice*, czapsy (ang. *chaps*) – ochraniacze na spodnie w postaci wiązanych z tyłu nogawek ze skóry albo grubej tkaniny, przytraczanych do pasa, są noszone przez kowbojów i innych jeźdźców jako ochrona nóg przy jeździe przez zarośla.

² *Pręt* – dawna miara długości, pręt anglosaski (*rod*) liczy 5,5 jarda (16,5 stóp), czyli 5,03 metra.

³ *Piłkę* – chodzi o piłkę do baseballu, którą miotacz stara się rzucać tak, aby zaskoczyć pałkarza.



Ogromny colt Baina wypalił, kiedy był jeszcze zwrócony lufą w dół,
a jego właściciel upadał.

Duane głęboko westchnął i schował rewolwer. Czuł spokój i chłód, był zadowolony, że jest już po walce. Wybuchnął jednym, gwałtownym słowem: „Głupiec!”.

Kiedy podniósł wzrok, zobaczył wokół siebie ludzi.

– Prosto w samo serce – stwierdził ktoś.

Inny obecny, kowboj, który najwidoczniej dopiero co odszedł od stołu gry, pochylił się i rozchylił koszulę Baina. W ręku trzymał asa pikowego. Położył go na piersi martwego i czarny znak na karcie zakrył obie dziury tuż nad sercem.

Duane obrócił się na pięcie i odszedł z pośpiechem. Usłyszał, jak ktoś mówił:

– Cal dostał to, na co zasłużył. Pierwsza strzelanina Bucka Duane’a. Jaki ojciec, taki syn!



Rozdział II

W mózgu Bucka powtarzała się uporczywa myśl, że mógł być sobie zaoszczędzić zgryzoty, z jaką wyobrażał sobie, jaką to straszną rzeczą będzie zabicie człowieka. Teraz nie miał wcale przykrych uczuć. Uwolnił społeczność od pijaka i awanturnika, od sprawiającego tylko kłopoty kowboja.

Dopiero u furty swojego domu, na widok wuja czekającego tam z osiodłanym już ognistym wierzchowcem, z gotową manierką, lassem i jukami, coś w duchu Duane'a lekko zadygotało. Zapomniał, że zabójstwo będzie miało swoje następstwa. Ujrzenie konia i wyrazu twarzy wuja przywróciło mu świadomość, że odtąd będzie uciekinierem. Porwał go niedorzeczny gniew.

– Cho... cholerny głupiec! – zaklął z pasją. – Walka z Bainem była niemal fraszką, wuju Jimie. Zakurzył mi tylko buty a z powodu takiego głupstwa muszę się ukrywać.

– Więc go... zabiłeś, synu? – ledwo wydusił z siebie jego wuj.

– Tak. Stałem nad nim, patrzyłem, jak kona. Zrobiłem to, jakbym nie był nowicjuszem.

– Wiem. Od dawna wiedziałem, że do tego dojdzie. Nie ma co jednak rozczulać się teraz nad rozlaną krwią. Musisz opuścić miasteczko i całą tę okolicę.

– A matka?! – krzyknął Duane.

– Jeszcze nie wróciła do domu, ale nie możesz czekać. Ja jej powiem, że stało się to, czego. się zawsze lękała.

Duane nagle usiadł i ukrył twarz w dłoniach.

– Na Boga! wuju, co ja zrobiłem?

Szerokimi barami młodzieńca wstrząsnął konwulsyjny szloch.

– Posłuchaj, synku, i zapamiętaj moje słowa – zaczął z powagą jego opiekun. – Nie zapomnij ich nigdy. Tyś nie zawinił. Rad jestem, że tak to bierzesz sobie do serca, bo może to oznaczać, że nigdy nie

wyrośniesz na twardego i nieczułego zabijakę. Tyś nie zawinił. Taki jest Teksas. Wdałeś się w ojca. Przeżywamy złe, dzikie czasy. Strażnicy wprowadzają prawo, ale nie zdoła ono w jeden dzień zmienić tutejszego życia. Nawet twoja matka, kobieta dobra i szlachetna, przyczyniła się do tego, że stałeś się teraz tym, kim jesteś. Przecież przybyła z pionierami – z toczącymi walki pionierami tego stanu. Tamte dzikie lata, zanim jeszcze przyszedłeś na świat, rozbudziły w niej instynkt walki o życie własne, o życie jej dzieci. Ten instynkt przekazała tobie. Dużo wody upłynie, zanim zniknie on u młodzieńców urodzonych w Teksasie.

– Jestem mordercą – powiedział rozdygotany Duane.

– Nie, synku, nie jesteś. I nigdy nim nie będziesz. Ale dopóki nie nastaną czasy, w których będziesz tu bezpieczny, musisz pozostawać wyjętym spod prawa banitą.

– Banitą?

– Jakżem rzekł. Gdybyśmy byli bogatymi, wpływowymi ludźmi, moglibyśmy zaryzykować sprawę sądową. Myślę wszakże, że szubienica ani więzienie nie są właściwymi miejscami dla Buckleya Duane’a. Uciekaj na dzikie pola, ale gdziekolwiek cię losy poniosą, cokolwiek będziesz robił, bądź porządnym człowiekiem. Jeśli będzie to możliwe, żyj uczciwie. Jeśli nie, to chociaż staraj się to robić. Jeżeli będziesz zmuszony trzymać się z przestępcami, spróbuj nie stać się równie zły, co oni. Także wśród nich zdarzają się uczciwi ludzie – wielu musiało zejść na tę ścieżkę, tak samo jak ty. Kiedy już trafisz między nich, to nade wszystko unikaj burd. Nie pij, nie graj w karty. Nie potrzebuję ci mówić, co masz robić w razie strzelanin, do których zapewne będzie dochodziło. Do domu wrócić nie możesz. Jeżeli ta sprawa przyschnie, o ile kiedykolwiek nadejdą takie czasy, wyślę ci wiadomość do krainy bez osadników. Jakoś któregoś dnia do ciebie dotrze. To i wszystko. Pamiętaj, bądź uczciwym człowiekiem. Jedź z Bogiem!

Duane’owi oczy zaszyły łzami, coś ścisnęło mu gardło. Podał wujowi rękę w pożegnaniu bez słów, a potem wskoczył na karosza i opuścił miasteczko.

Jadąc szybko, ale nie wysilając nadmiernie swego konia, wkrótce znalazł się piętnaście, osiemnaście mil od rodzinnego domu. Wówczas zwolnił i nie musiał już całej swej uwagi skupiać na jeździe. Minął kilka rancz, z których był widziany. Nie był z tego rad i ruszył starym szlakiem przez płaskie tereny rzadko tylko porośnięte jadłoszynami¹ i kolczastymi opuncjami². Niekiedy w oddali dostrzegał niskie wzgórza. Często polował w tych okolicach i wiedział, gdzie szukać wody i trawy. Po dotarciu do wyżyny nie zatrzymał się jednak w pierwszym miejscu dogodnym dla odpoczynku, lecz pojechał dalej. Wreszcie Duane dotarł na grzbiet wzgórz i ujrzał pod sobą rozległy szmat kraju, tak samo jednostajnie szary, jak ten, który przemierzał dotychczas. Sprawiał wrażenie, że ciągnie go do rozległych horyzontów, do dzikich pustkowi szeroko rozpościerających się gdzieś na południowym zachodzie. Pod wieczór postanowił zrobić postój w miejscu podobnym do tego, które minął wcześniej. Napoił konia i zaczął się rozglądać po płytkiej kotlinie za odpowiednim schronieniem na noc. Mijał stare obozowiska, które dobrze pamiętał, ale tym razem nie przypadły mu one do gustu. Wynikało to z zaszłej w nim zmiany, której jeszcze sobie nie uświadamiał. W końcu znalazł kryjówkę pod gęstymi koronami jadłoszynów i dębów, w sporym oddaleniu od dawnego szlaku. Zdjął z konia siodło i juki. Szukając postronka do spętania konia przekonał się, że wuj nie spakował mu go i przypomniał sobie, że sam rzadko to robił, a już nigdy temu karoszowi. Duane posłużył się odciętym kawałkiem lasa o długości kilku stóp. Koń, nie będąc przyzwyczajony do takiego ukrócenia jego swobody ruchów, musiał zostać zaprowadzony do trawy.

Następnie rozpałił małe ognisko, przygotował kolację i ją zjadł. Zakończywszy tym prace owego dnia usiadł i nabił fajkę. Półmrok

¹ *Jadłoszyny (Prosopis)* – rodzaj niewielkich drzew z rodziny bobowatych, rosnących głównie w obu Amerykach, zwykle na terenach suchych, w Teksasie występują gatunki *Prosopis glandulosa*, jadłoszyn baziowaty (*Prosopis juliflora*) i *Prosopis pubescens*, drzewa o wysokości 6-12 metrów.

² *Opuncje (Opuntia)* – rodzaj roślin z rodziny kaktusowatych, występujących w obu Amerykach, liczy około 150 bardzo zróżnicowanych gatunków, w Teksasie częste gatunki to *Opuntia aciculata*, *Opuntia engelmannii*, *Opuntia chlorotica*.

przechodził w zmierzch. Na niebie zaczynały się właśnie blade zapalać pierwsze gwiazdy. Przez cichy, jednostajny brzęk owadów przebiły się wieczorne trele drozdów¹. Niebawem ptaki przestały śpiewać, co jeszcze bardziej podkreśliło głębię ciszy. Kiedy nastała noc, miejsce to sprawiło wrażenie jeszcze bardziej osamotnionego i pustego, tak iż Duane odetchnął z ulgą.

Raptem uświadomił sobie, że jest zdenerwowany, że wciąż ma ochotę rozglądać się i nasłuchiwać, że nie potrafi zasnąć. Zdumiony tym, zaczął wracać pamięcią do swoich ostatnich działań i ich przyczyn. Zadziwiła go zmiana, jaka zaszła w nim przez ten jeden dzień. On, taki zawsze beztroski, swobodny, szczęśliwy, zwłaszcza gdy samotnie wyruszał poza miasteczko, w ciągu kilku godzin przeobraził się w człowieka napiętego, poważnego, zatroskanego. Cisza, za którą kiedyś przepadał, teraz przestała go pociągać, cenił ją tylko dlatego, że pozwalała łatwiej usłyszeć odgłosy pościgu. Samotność, noc, dziką przyrodę zawsze uważał za piękne, a teraz zapewniały mu wyłącznie chwilowe poczucie bezpieczeństwa. Duane wypatrywał, nasłuchiwał, rozmyślał, czuł zmęczenie, a mimo to nie chciało mu się spać. Zamierzał wyruszyć o świcie, kierując się na południowy zachód. Czy miał wybrany cel, do którego zdążał? Był równie mało dokładny, co jego wiedza o wielkiej, pokrytej jadłoszynami i skałami pustyni rozciągającej się nad Rio Grande. Gdzieś tam znajdzie schronienie. Był bowiem wyjętym spod prawa uciekinierem ukrywającym się przed sprawiedliwością.

Bycie banitą oznaczało zatem nieustanne zachowywanie czujności. Wyjęty spod prawa nie ma domu, nie zaznaje nigdy spokoju, nie może głęboko spać i wieść przyjemne życie. Musi albo błąkać się samotnie jak wilk albo trzymać się z ludźmi, którzy są mu obmierzli. Jeśliby spróbował uczciwie pracować na siebie, to pod warunkiem ukrywania swej tożsamości i narażania się na ryzyko zdemaskowania.

¹ Drozdy wędrowne (*Turdus migratorius*) – ptaki śpiewające z rodziny drozdowatych, występujące w całej Ameryce Północnej, wielkości polskiego kosa (25 cm długości), o ciemnoszarym wierzchu ciała, ogonie i głowie, piersi i brzuchu barwy ceglastej, pięknie śpiewające od marca do września.

Jeżeli Duane nie znajdzie pracy na jakimś odległym ranczu, to z czego będzie żył? Myśl o kradzieży była dla niego wstrętne. Przyszłość przedstawiała mu się żałośnie i posępnie., przecież miał dopiero dwadzieścia trzy lata.

Co spowodowało konieczność prowadzenia tak ciężkiego życia? To pełne goryczy pytanie przejęło go dziwnym chłodem pełzającym w żyłach. Co było z nim nie tak?

Do dogasającego już ogniska Duane dorzucił kilka gałązek jadalno-szynu. Czuł zimno i, nie wiadomo dlaczego, zatęsknił za światłem. Czarny krąg ciemności ciążył mu, zaciskał się wokół niego. Nagle usiadł prosto i zastygł w tej pozycji. Usłyszał kroki za sobą – nie – z boku. Ktoś tam był. Zmusił rękę, aby opadła na rewolwer, a chłód stali przypawił go o nowy lodowaty wstrząs. Potem czekał. Nie nastąpiło jednak nic oprócz ciszy. Ciszy, jaka może panować tylko nad arroyo¹ w pustkowiu, podkreślana wiatrem słabo szemrzącym w jałłoszynie. Czy usłyszał kroki? Duane zaczął ponownie oddychać.

Co się jednak działo ze światłem ogniska? Nabrało niesamowitego, zielonego blasku i wydawało się rozplywać w ciemnościach. Duane nie słyszał kroków, nie dostrzegał ruchu, a mimo to czuł, że ktoś czuwa z nim przy ogniu. Widział go wyraźnie. W środku zielonkawej poświaty leżał nieruchomo konający człowiek. Oczywiście Cal Bain! Rysy twarzy miał cudownie wyraziste, widoczne jeszcze ostrzej, niż na kamei², bardziej żywo, niż na obrazie. Owe srogie oblicze, znalazłszy się na progu wieczności, już łagodniało. Czerwona opalenizna, ślady po pijaństwie, występująca zawsze u tego kowboja mina świadcząca o dzikości i nienawiści teraz całkowicie ustąpiły. Twarz ta należała jakby do innego Baina, ukazywała wszystko, co było w nim ludzkie, ale i to rozplywało się już szybko, bladło. Usta chciały przemówić, ale nie miały na to dość sił. W oczach odbijała się agonía myśli. Zdradzały to, co człowiek ten mógłby uczynić, gdyby żył, lecz

¹ *Arroyo* (hiszp.) – łózysko potoku okresowego, wypełniające się wodą tylko po ulewach lub na wiosnę, nazwa hiszpańska używana w części Stanów Zjednoczonych sąsiadującej z Meksykiem.

² *Kamea* – kamień szlachetny lub półszlachetny z wyrytą na nim wypukłą płaskorzeźbą, często będącą portretem.

było już za późno, aby spostrzegł swoją pomyłkę. Nagle oczy stały w ślup, przestały cokolwiek widzieć i zamknęły się w śmierci.

Owa dręcząca go zjawą sprowadziła na siedzącego Duane'a zimne poty. Doznał wyrzutów sumienia dręczących jego wnętrzości, pojął, jakie przekleństwo na nim ciąży. Przewidywał, że nie zdoła się nigdy uwolnić od tego widma. Pamiętał, że jego ojca stale prześladowały oskarżycielskie furie¹, że zawsze, czy spał, czy pracował, nie był w stanie zapomnieć o ludziach, których zabił.

Upłynęło wiele czasu, zanim umysł Duane'a pozwolił mu zasnąć, a wtedy przypląły dręczące sny. Wstał wcześniej, tak wcześniej, że o szarym przedświcie miał kłopoty z odszukaniem konia. Gdy wyjeżdżał na stary szlak, dzień dopiero zaczynał się budzić.

Całe rano jechał szybko. W południe zatrzymał się w zacienionym miejscu i puścił konia na trawę. Po południu przemierzał szlak wolnym kłusem. Okolica stawała się coraz bardziej dzika. Skaliste, łyse góry przełamywały monotonną linię widnokręgu. Około trzeciej dotarł do niewielkiej rzeki² stanowiącej granicę, której nigdy wcześniej nie przekraczał podczas polowań.

Postanowienie Duane'a podążania na razie w górę nurtu miało dwie przyczyny: po pierwsze oba brzegi rzeki były wysokie, z grząskimi piaskami, a po drugie nie śpieszyło mu się do krainy, w której wyróżniałby się samą swą obecnością. Nizina, przez którą rzeka wiała się zakolami na południowy zachód, bardziej go pociągała, niż pokonane już przez niego pustkowia. Resztę dnia poświęcił na wolną jazdę w górę nurtu. O zachodzie słońca upatrzył sobie na nocleg zarośla pośród wierzb i topól. Przypuszczał, że w tym samotnym miejscu powróci mu swoboda i radość z życia. Doznał zawodu. Wszystkie uczucia, wszystkie zjawy, których doświadczył poprzedniej nocy, wróciły jeszcze trochę bardziej wyraziście, a wraz z nimi nowe, o tym samym natężeniu i charakterze.

¹ *Furie* – w mitologii rzymskiej demony świata podziemnego, później utożsamiane z greckimi eryniami, boginkami zemsty, prześladowającymi morderców.

² *Rzeka* – zapewne Nueces, rzeka w południowym Teksasie, długości 507 km, w górnym biegu płynąca na południe równoległe do Rio Grande, w dolnym na wschód, uchodząca do Zatoki Meksykańskiej, płynie ok. 20 km na zachód od Uvalde (Wellston).

Następne trzy dni upłynęły Duane'owi na takiej właśnie jeździe i postojach. W tym czasie przeciął wiele szlaków i jedną drogę, po której niedawno przepędzono stado bydła, prawdopodobnie skradzionego. Wyczerpały mu się już zapasy jedzenia, oprócz soli, pieprzu, kawy i cukru, których miał pod dostatkiem. W zaroślach zdarzały się jelenie, ale ponieważ nie zdołał zbliżyć się do nich dostatecznie blisko, aby upolować je z rewolweru, musiał się zadowolić królikiem. Wiedział, że powinien przyzwyczajać się do byle jakiego jedzenia, które stanie się jego udziałem.

Gdzieś w górze rzeki, w odległości około stu mil od Wellston, leżało miasteczko Huntsville¹, słynące w całym południowo-zachodnim Teksasie. Duane nigdy w nim nie był. Sława owego miasteczka była tego rodzaju, że uczciwi podróżni omijali je szerokim łukiem. Młody człowiek, posiadający znaczną jak na niego sumę pieniędzy, postanowił odwiedzić Huntsville, jeśli zdoła je odnaleźć i zakupić tam zapasy żywności.

Nazajutrz pod wieczór natrafił na drogę, jego zdaniem mogącą wieść do miasteczka. Na piasku widać było dużo świeżych końskich śladów, co dało mu do myślenia. Pomimo nich posuwał się dalej, choć bardzo ostrożnie. Nie ujechał daleko, gdy od tyłu do jego uszu doleciał szybki tętent. Zmierzch zapadał i na drodze trudno było coś zobaczyć na większą odległość. Odgłosy ostrzegały jednak, że nieznajomi jeźdźcy znajdują się bliżej, niżby Duane chciał. Wolał nie jechać dalej drogą, dlatego skręcił między jadłoszyny i stanął. Miał nadzieję, że pogoń go nie dostrzeże i nie usłyszy. Jako świeży uciekinier we wszystkich ludziach dopatrywał się wrogów i prześladowców.

Jeźdźcy zbliżali się szybko. Niebawem znaleźli się na wprost jego kryjówki. Byli tak blisko, że Duane słyszał chrzęst siodła i pobrękiwanie ostróg.

– Musiał się niżej przeprawić przez rzekę – powiedział jeden z jeźdźców.

– Pewnie masz rację, Billu. Wymknął się nam – przytaknął drugi.

¹ *Huntsville* – jest takie miasteczko w Teksasie, ale we wschodniej jego części, między miastami Houston i Dallas, a nie południowo-zachodniej, założone około roku 1836.

Strażnicy albo patrol ranczerów w pościgu za uciekinierem! Rozpoznanie tego wywołało u Duane'a dziwny wstrząs. Niemożliwe, żeby to jego gonili. Ale poczucie ich bliskości było dla niego tak samo dojmujące, jakby to właśnie jego szukali. Powstrzymując oddech i zaciskając zęby, uśmierzał niepokój konia naciskiem ręki.

Nagle spostrzegł, że jeźdźcy stanęli i naradzali się szeptem. Wiedział jedynie ciemną, zbitą grupę. Dlaczego się zatrzymali? Czyżby coś zwietrzyli?

– Mylisz się, Billu – powiedział ktoś cicho, lecz wyraźnie. – Wydawało ci się, żeś słyszał kunia, Jesteś gorszy od Strażnika i chciałbyś koniecznie ubić tego koniokrada. Ja bym radził jechać do domu na kolację.

– Dobra, tylko jeszcze popatrzę po piachu – odparł mężczyzna nazywany Billem.

Duane usłyszał brzęczenie ostrogi uderzającej o stalowe strzemie i łupnięcie butów stawianych na ziemi. Nastąpiła krótka cisza, którą przerwał ostry okrzyk.

Buck dłużej nie czekał.

Znaleźli jego ślady. Pchnął konia głębiej w krzaki. Po drugim chrzęstliwym skoku na drodze wybuchły wrzaski i zagrzmiały wystrzały. Jakaś kula gwizdnęła Duane'owi koło ucha i ze szczególnym harmonijnym odgłosem uderzyła w gałąź. Świadomość, że ten ołowiany pocisk mógł go zabić, huk wystrzałów, wprawiła uciekiniera w złość, która przerodziła się gwałtownie w niemal niepokohamowany szal. Musiał uciekać, lecz sprawiał wrażenie, że było mu wszystko jedno czy to uczyni, czy nie. Jakaś dzika przekora pchała go do ryzyka, do zatrzymania się i odpowiedzięcia ogniem na kule tych ludzi. Jechał z głową opuszczoną nisko nad łękiem siodła, aby uniknąć uderzeń gałęzi. Pokonawszy kilkaset jardów wyprostował się i spróbował pokierować koniem. W mrocznych cieniach pod jądłoszynami i topolami szukanie luk w zaroślach nastroczało wielkie trudności. Mimo to Duane tak dobrze dawał sobie radę, robiąc przy tym tak mało hałasu, że stopniowo oddalał się od ścigających go. Tętent ich koni przedzierających się przez zarośla ucichał w oddali.

Duane ściągnął cugle, nasłuchując. Oderwał się od ścigających. Prawdopodobnie będą obozowali do świtu i wtedy wznowią pogoń po śladach. Ruszył ponownie, lecz stępa, wpatrując się w ziemię, aby popędzić pierwszym dostrzeżonym szlakiem. Minęło sporo czasu, zanim na taki trafił. Jechał nim do późnej godziny, a potem natrafił na wierzbowe zarośla, a zatem znalazł się niedaleko rzeki. Uwiązał tam konia i położył się spać. Leczenie nie przychodziło. Umysł Buca rozważał z goryczą przeznaczenie, jakie go dopadło. Próbował myśleć o czymś innym, ale nie zdołał. Nieustannie wyczekiwał nerwowych dreszczy, poczucia samotności, poprzedzających złowieszczą zjawę, nocnych blasków i cieni dziwnie pobudzających wyobraźnię – wszystkiego, co zapowiadało przybycie Cala Baina. Duane uparcie opierał się podstępemu duchowi, powtarzając sobie, że to tylko przywidzenie, które z czasem samo uleci. W głębi serca nie wierzył w owe nadzieje. Pomimo tego się nie poddawał, ducha swojej ofiary nie przyjmował za rzeczywistość.

Szary świt zastał Duane'a w siodle, znowu jadącego ku rzece. Gdy minęło pół godziny, dotarł do zwartych zarośli i gęstych wierzb. Przebiwszy się przez nie, znalazł się wreszcie u brodu. Dno było tam żwirowate, zapewniające łatwą przeprawę. Znalazszy się na drugim brzegu ściągnął wodze i obejrzał się pośpiesznie. Uświadomił sobie, co się stało. Przejechał dobrowolnie przez rubież, wybrał kryjówkę wyjętych spod prawa. Z gorzkim przekleństwem uderzył konia ostrogą, zagłębiając się w zarośla na tym obcym brzegu.

Duane przejechał ze dwadzieścia mil. Teraz już nie oszczędzał konia i nie troszczył się o to, czy zostawia za sobą ślad, czy nie.

Kiedy upał zaczął stawać się nie do zniesienia, a Duane'a dręczyły coraz bardziej głód i pragnienie, przystąpił on do szukania miejsca nadającego się na postój w południe. Szlak doprowadził go do drogi mocno i gładko udeptanej racicami bydła. Musiał to być jeden z traktów pogranicza, uczęszczanych przez zbójckie bandy. Skręcił na niego i milę dalej za zakrętem zetknął się oko w oko z jeźdźcą jadącym w przeciwnym kierunku. Obaj wykręcili ostro konie w gotowości do ucieczki i strzelaniny. Dzieliło ich najwyżej sto kroków. Chwilę stali obserwując się nawzajem.

Nieznajomy odjął rękę od biodra.

– Dzieńdoberek, kolego.

– Czołem – odparł krótko Duane.

Ruszyli końmi ku sobie. W odległości pięćdziesięciu kroków znów się zatrzymali.

– Widzę, żeś nie Strażnik! – zawołał nieznajomy. – Ja na pewno także nie!

I zarechotał, jakby powiedział dobry żart.

– Po czym poznałeś, żeś nie Strażnik? – zapytał z ciekawością Duane. Coś mu od razu szepnęło, że spotkany jeździec nie jest ani przedstawicielem prawa, ani nawet ranczerem, tropiącym skradzione bydło.

Żartowniś ruszył stępa.

– No po tym, że Strażnik nigdy nie zawraca przy spotkaniu, gotów do ucieczki.

Znów zarechotał. Był niski, żylasty, ubrany jak ostatni oberwaniec i uzbrojony po zęby. Dosiadał pięknego gniadego konia. Miał bystre, brązowe oczy, w nieustannym roztańczonym ruchu, jednocześnie szczere i zuchwałe oraz twardą, ogorzałą twarz. Sprawiał wrażenie dobrodusznego hultaja.

Duane'a uderzyła trafność spostrzeżenia nieznajomego. Nie mógł się nadziwić, z jaką przenikliwością rozpoznał w nim człowieka ściągane.

– Nazywam się Luke Stevens i pochodzę znad rzeki. A tyś co za jeden? – zapytał napotkany.

Duane milczał.

– Pewnikiem jesteś Buck Duane, co? – pytał dalej Stevens. – Słyszałem, że strzelasz jak wszyscy diabli.

Tym razem Duane odpowiedział śmiechem, ubawiony nie owym wątpliwym komplementem, lecz tym, że okazał się znany pierwszemu spotkanemu przestępcy. Otrzymał właśnie dowód, jak szybko wieści o pojedynkach rewolwerowych rozchodzą się na pograniczu Teksasu.

– No, Buck – mówił przyjacielsko Stevens – nie chcę ci się narzucać z towarzystwem, ani zabierać czasu. Widzę, że jedziesz ku rzece.

Ale może zatrzymałbyś się na tyle długo, abys podzielił się z kolegą żarciem?

– Nie mam żadnego żarcia, a z głodu i mnie kiszki marsza grają – przyznał się Duane.

– Widzę po koniu, żeś tego go poganiał. No, myślę se, że zanim ruszysz dalej w ten kraj, powinienes zrobić zapasy jedzenia.

Prawą ręką Stevens zatoczył szeroki łuk w stronę południowego zachodu, dobitniej od słów wskazując na rozległość i jałowość tamtych stron.

– Zrobić zapasy? – powtórzył z namysłem Duane.

– A pewnie. Człek musi przecie jeść. Bez whisky mogę wytrzymać, ale bez żarcia ani rusz. Właśnie dlatego w tych stronach ciężko się podróżuje, uciekając przed własnym cieniem. Teraz ciągnę do Mercer¹. To mała miejscina tam w górze rzeki. Jadę, żeby zabrać trochę jadła.

Stevens mówił tonem zachęty. Widać było, że miał ochotę zaprosić Duane’a do towarzystwa, lecz otwarcie nie ogłaszał tej chęci. Jego rozmówca nie odzywał się jednak, dlatego Stevens mówił dalej.

– Kolego, w tych stronach dwóch – to już banda. Tak jest bezpiecznie. Nigdy nie podobało mi się zbytnio życie samotnego wilka, ale musiałem takie wieść. Trzeba diabelnie twardego człowieka, żeby długo wytrzymać w pojedynkę. Tak mi już dojadła samotność, że chciałem spotkać chociażby Strażnika, nawet jeśliby miał do mnie palnąć. Bez kumpla ciężko. Może z ciebie nie jest taki człek, a ja nie chcę wcale się narzucać. Dość już chyba żem ci rzekł.

– Czyli chciałbyś, żebym przystał do ciebie? – zapytał Duane.

Stevens mocno poweselał.

– No, uśmiechałoby mi się to. Byłbym dumny z tak sławnego towarzysza jak ty.

– Przestań, przyjacielu, nie pleć bzdur – z pośpiechem oświadczył Duane.

– Pewnie, że skromność przystoi młodemu – odparł Stevens. – Nie cierpię chwalipięt i nie mam dobrego wyobrażenia o tych kowbojach

¹ Mercer – miejscowość wymyślona.

pyszałkach, którzy wiecznie szukają zaczepki i umieją gadać tylko o tym, który lepiej strzela. O tobie wiem niewiele, Buck, ale wszyscy mieszkańcy pogranicza Teksasu pamiętają dobrze twojego tatkę. Ludzie spodziewali się po tobie, że pójdiesz w ślady ojca i zdobyłeś już trochę sławy, zanim jeszcze chwyciłeś za broń. Słyszałem, żeś dobył ją w mgnieniu oka, i że kiedy już przyszło co do czego z rewolwerem, listek na asie pik wystarczył, aby zakryć dziury po twoich kulach. Tak gada się o tym na pograniczu. Taka właśnie sława rozchodzi się tutaj najszybciej i najdalej. I to ona daje największe bezpieczeństwo, mogą się założyć. Mamy tu krainę rewolwerowców. Teraz widzę, że z ciebie jeszcze młokos, ale na pewno całkiem krzepki. Ja, Buck, nie jestem żółtodziobem i długo już żyję jak ścigany zwierz. Może odrobina mojego towarzystwa ci nie zaszkodzi. Musisz lepiej poznać ten kraj.

W tym opryszku było coś szczerego, coś sympatycznego.

– Pewnie dobrze mówisz – powiedział spokojnie Duane. – Pojadę z tobą do Mercer.

Chwilę później jechał już drogą obok Stevensa. Nigdy nie był gadatliwy, a teraz rozmowa przychodziła mu szczególnie trudno. Jego towarzyszowi zdawało się na to jednak nie przeszkadzać. Stevens lubił żarty, słowa przychodziły mu z łatwością i przypuszczalnie radowało go teraz brzmienie własnego głosu. Słuchając go Duane rozmyślał niekiedy z ukłuciem bólu o nazwisku i krwi, które odziedziczył po ojcu.



Rozdział III

Dod wieczór tego dnia, na parę godzin przed zachodem słońca, Duane i Stevens, dawszy koniom wytchnienie w cieniu jadłoszynów niedaleko od miasteczka Mercer, osiodłali je i szykowali się do odjazdu.

– Buck, skoro szukamy żarcia, a nie guza, chyba lepiej tu zostać – powiedział Stevens, dosiadając konia. – Widzisz, miasta, szeryfowie i Strażnicy zawsze szukają nowych ptaszków, które zeszyły na złą drogę. O starszych gagatkach przeważnie zapominają, chyba że są szczególnie źli. Na mnie w Mercer nikt nie zwróci uwagi. Od czasu, jak grasuję na tej krainie nad rzeką, przybyło tu z tysiąc bani-tów. Zaczekaj tutaj i bądź przygotowany na zmykanie na łeb, na szyję. Może być, że prześladowający mnie grzech odezwie się, choć mam dobre zamiary. W takim razie nastąpi...

Pauza była znacząca. Wyszczерzył w uśmiechu zęby, w orzechowych oczach pojawiły się błyski szalonej wesołości.

– Stevens, a masz pieniądze? – zapytał Duane.

– Pieniądze! – zapiał ponuro Stevens. – Kolego, od..., no, od jakiegoś czasu nie miałem w ręku monety.

– Dam ci pieniądze na jedzenie – ofiarował się Duane – i na whisky, bylebyś szybko tu wrócił i nie zaplątał się w jakąś awanturę.

Stevens wziął pieniądze.

– Z ciebie naprawdę morowy chłop – biorąc pieniądze oświadczył tonem podziwu. – Słowo daję, że wrócę, a wierz mi, kolego, nigdy jeszcze nie złamałem żadnego. Przywaruj tu i czekaj. W mig będę z powrotem.

Dawszy koniowi ostrogę, z zarośli jadłoszynów wyjechał na drogę do miasteczka. Z odległości ćwierci mili Mercer przedstawiało się jako skupisko niskich domków z niewypalanej cegły postawionych

w topolowym gaju. Na łąkach alfalfy¹ pasły się konie i bydło. Duane wypatrzył owczarza przeganiającego stadko owiec.

Stevens zniknął szybko między drzewami. Duane czekał, pełen nadziei, że poznany banita dotrzyma słowa. Nie upłynął zapewne kwadrans, gdy w ciszy zahuczały donośnie wystrzały z Winchestera², zagrzmiał szybki tętent kopyt, rozbrzmiały wrzaski nieomylnie oznaczające niebezpieczeństwo grożące takim ludziom, jak Stevens.

Duane wskoczył na konia i wyjechał na skraj łąk szynów.

Zobaczył sunący drogą kłęb kurzawy, wśród której pędził gniady koń. Stevensa najpewniej nie trafił żaden strzał, gdyż w siodle siedział pewnie, a jego kunszt jeździecki nawet w tej chwili wprowadził Duane'a w zachwyt. Przed sobą na łęku trzymał wielki pakunek i ciągle się oglądał. Strzelanina ustała, lecz wrzaski się nasiliły. Duane zobaczył kilku ludzi biegnących i wymachujących rękoma. Wtedy spał konia ostrogami do szybkiej jazdy, żeby Stevens go nie przegonił. Chwila, i obaj się zrównali. Starszy banita uśmiechał się, ale jego zazwyczaj roześmianym oczom brakowało radości. Twarz wyglądała na odrobinę bledszą.

– Właśnie wychodził żem ze sklepu – wrzeszczał Stevens – gdy wpakowałem się na znajomego ranczera. Porwał się do strzelby! Pewnikiem będą nas gonili!

Zanim jednak pojawiły się pierwsze oznaki pościgu, uciekinierzy ujechali już dobre kilka mil. Kiedy pokazali się opuszczający topole jeźdźcy, Duane i jego towarzysz byli daleko, a odległość między nimi i pogonią ciągle się powiększała.

– Żaden z ich koni nam nie zagrozi! – zawołał Stevens.

Duane też był o tym przekonany i przestał się oglądać. Jadąc trochę przed Stevensem wiedział, że ten stale trzyma się tuż za nim, gdyż

¹ *Alfalfa* – amerykańska nazwa lucerny siewnej (*Medicago sativa*), rośliny z rodziny bobowatych, pochodzącej z Europy, Afryki Północnej i Azji Zachodniej, sadzonej w Ameryce, bylina wysokości 30-90 cm, o fioletowych do purpurowych kwiatach, uprawiana jako wydajna i mało wymagająca roślina pastewna.

² *Winchester* – strzelba produkowana przez amerykańską firmę Olivera Winchestera od roku 1866, było jej wiele rodzajów, powtarzalna, ładowana dźwignią, najpopularniejszy był Model 1873.

stale słyszał szybki tętent kopyt. O zachodzie słońca dotarli do wierzbowych zarośli nad rzeką. Zdyszany koń Duane'a ociekał potem i pianą. Dopiero jednak po przeprawieniu się przez rzekę zatrzymał się, aby pozwolić zwierzęciu wytchnąć. Stevens wjeżdżał na niski piaszczysty brzeg, chwielejąc się w siodle. Duane zeskoczył z siodła i pobiegł do niego.

– Jesteś ranny! – krzyknął Duane.

– No, a jak niby inaczej! Może byś mi pomógł i wziął ten pakunek?

Duane odebrał ciężki pakunek i pomógł Stevensowi zsiąść. Banita miał na ustach czerwoną pianę i spluwał krwią.

– Czemuś mi nie powiedział? – zawołał Duane. – Nic nie zauważyłem. Zdawało mi się, że jesteś cały.

– Kolego, Luke Stevens może być gadatliwy jak stara baba, ale czasami potrafi utrzymać język za zębami. Cóż by to pomogło?

Duane kazał mu usiąść, zerwał z niego koszulę, obmył krew z piersi i pleców. Kula trafiła Stevensa tuż ponad brzuchem i wyszła z tyłu. Przy takiej ranie równie długa jazda, utrudniona przytrzymywaniem ciężkiego pakunku, była wyczynem wręcz bohaterskim. Duane nie chciał wierzyć własnym oczom i nie przypuszczał, aby Stevens się z tego wylizał. Niemniej opatrzył rany i mocno je obandażował.

– Ten ranczer nazywa się Brown – zaczął ranny. – Jestem z chłopem na bakier, bo w Huntsville buchnąłem mu kunia. Strzelaliśmy wtedy do siebie. No, tam w Mercer zobaczyłem tego Browna z siodła, zanim on mnie dojrzał. Mogłem go zabić jak nic. Ale dałem ci słowo, że nie zrobię żadnej burdy. Łudziłem się, że mnie, jucha, nie zobaczy. No, ale zobaczył. Strzelił pierwszy i od razu. Co myślisz o tej ranie, ciężka?

– Dosyć ciężka – potwierdził Duane i nie mógł spojrzeć wesołemu przestępcy w oczy.

– Pewnie jest. No, miewałem już ciężkie rany i jakoś zawsze je przeżyłem. Może i tę przetrzymam. Słuchaj, Buck, wyszukaj mi dobre miejsce w zaroślach, zostaw żarcie i wodę, żebym miał je pod ręką i jedź dalej.

– Miałbym cię zastawić samego? – zapytał ostro Duane.

– No jasne. Widzisz, nie nadążę za tobą, a Brown z towarzyszami przeprawią się przez rzekę w pogoni za nami. Musisz myśleć o sobie.

– Jakbyś postąpił na moim miejscu? – zapytał zaciekawiony Duane.

– No, pewnie ratowałbym własną skórę – odparł Stevens.

Duane nie bardzo uwierzył w szczerość tego oświadczenia. Bez dalszego gadania rozstrzygnął rzecz samemu. Najpierw napił konie, nabrał wody do manierek i do bukłaka, a potem pakunek z żywnością uwiązał przy własnym siodle, wsadził Stevensa na jego wierzchowca i przytrzymując go tam, skręcił w gąszcz. Wybierał umyślnie ziemię kamienistą lub porośłą murawą, żeby zostawiać jak najmniej śladów. O zmierzchu natrafił na ścieżkę, którą Stevens uznał za bezpieczną, jako że wiodła w dzikie pustkowię.

– Pewnikiem lepiej jedźmy nią w ciemności, dopóki nie zlecę z konia – powiedział Stevens ze śmiechem.

Przez całą tę noc Duane, posępny, zadumany, podtrzymujący tro-skliwie rannego, szedł bez odpoczynku owym szlakiem. Zatrzymał się dopiero o brzasku. Był wtedy zmęczony i mocno głodny. Stevens wyglądał bardzo kiepsko, mimo to humor go nie opuszczał. Duane przygotował obozowisko. Ranny nie chciał jeść, poprosił tylko o whiskey i wodę. Następnie wyciągnął się jak długi.

– Buck, zdejmiesz mi buty? – zapytał ze słabym uśmiechem na wybladłej twarzy.

Duane uczynił zadość jego prośbie, lecz przeszło mu przez głowę, czy czasami przestępca nie boi się umrzeć w butach¹. Ten, jakby czytając jego myśli, dodał:

– Słuchaj, Buck, mój staruszek mawiał, że skończę na szubienicy. Ale jakoś mnie to ominęło, a śmierć w butach jest niewiele gorsza od stryczka.

– Możesz z tego... no, wyjść – powiedział Duane.

– Pewnie, że mogę. Ale chcę być w porządku z butami... I posłuchaj, przyjacielu, jakbym z tego wyszedł, to pamiętaj, że jestem ci wdzięczny za twoją uprzejmość.

¹ *Umrzeć w butach* – amerykański idiom, oznaczający zakończenie życia podczas pełnienia służby wojskowej albo toczenia walki, a nie w łóżku, z choroby czy starości.

Zamknął oczy i mogło się zdawać, że usnął.

Duane nie mógł znaleźć wody dla koni, ale naokoło rośla bujna trawa, mokra od rosy, więc je spętał i zostawił. Następnie pomyślał o posiłku dla siebie. Ogromnie go potrzebował. Położył się spać, kiedy słońce zaczynało przygrzewać, a obudził się o zmierzchu. Stevens żył jeszcze, o czym świadczył ciężki oddech. Konie pasły się na widoku. W przyrodzie panowała cisza, tylko w chaszczech brzęczały owady. Duane chwilę nasłuchiwał, wreszcie wstał i poszedł po konie.

Kiedy wrócił, Stevens już nie spał. Wydawał się silniejszy, oczy mu błyszczały, był w zwykłym mu dobrym humorze.

– No, Buck, jeszcze cię nie opuściłem i mogę znowu jechać przez całą noc – powiedział. – Teraz przydałoby mi się tylko dobrze łyknąć z tej butelki. Pomożesz mi, brachu? Uff! Tak jest morowo! Dziś wieczorem nie łykam wcale krwi. Może wszystka już wyciekła.

Kiedy Duane pospiesznie się posilał, pakował nieliczny sprzęt obozowy i siadła konie, Stevens gadał bez przerwy, jakby się spieszył z udzieleniem towarzyszowi wszelkich wiadomości o krainie wyrzutków. Jeszcze jedna noc, a ujadą tak daleko, że nie będą się potrzebowali obawiać pościgu. Znajdą się już blisko Rio Grande i kryjówek banitów.

Mieli wsiadać na konie, kiedy Stevens rzekł:

– Pewnikiem możesz mi na nowo wciągnąć buty!

Choć powiedział to ze śmiechem, Duane wykrył niewielką zmianę w jego nastroju.

Tej nocy podróżowało się im o tyle wygodniej, że szlak był dostatecznie szeroki, aby dwa konie posuwały się obok siebie i Duane mógł jechać, podtrzymując z siodła swego towarzysza. Największy kłopot mieli z końmi, które nie chciały iść stępą, gdyż zostały przyuczone do klusu, a ten chód był szkodliwy dla rannego. Na zachodzie zgasła czerwona luna, przez krótki czas pozostała po niej poświata; w końcu zapadła ciemność. Rozległy błękit nieba nabrał barwy granatowej, zajaśniały na nim gwiazdy. Po jakimś czasie Stevens przestał gadać i opadł na siodło. Duane nie pozwalał jednakże koniom stawać, a godziny upływały powoli. Odnosił wrażenie, że cicha noc nigdy nie do-

ciągnie do świtu, że posępna, melancholijna równina nigdy się nie skończy. Wreszcie doczekał się, że szarość przedświtu zgasiła gwiazdy i objęła płaską dal, porosłą jadłoszynami i kaktusami.

Świt zastał uciekinierów na trawiastym obozowisku nad brzegiem kamienistego łożyska strumienia. Stevens osunął się w ramiona towarzysza bezwładnym ciężarem. Jedno spojrzenie na jego zapadniętą twarz powiedziało Duane'owi, że nieszczęśliwy odbył swoją ostatnią jazdę. On też to czuł, a mimo to wesołość go nie opuszczała.

– Buck, nogi strasznie mi omdlewają od tych ciężkich buciorów – poskarżył się i gdy Duane mu je zdjął, od razu odetchnął z olbrzymią ulgą.

Duane'a mocno dziwiły te ciągłe historie z butami. Ułożył ranne go możliwie jak najwygodniej i z kolei pomyślał o sobie. Stevens zaczął znów gawędzić, nawiązując do wskazówek z ubiegłej nocy.

– Ten szlak rozwidla się kawał drogi stąd, i każda jego odnoga prowadzi do dziury, w której znajdziesz ludzi, w tym może kilku takich jak ty, innych takich jak ja, i całe hordy nic niewartych koniokraków, bydłokraków i innych takich. Tam łatwe życie, bracie, ale obawiam się, Buck, że tobie pewnikiem nie przypadnie ono do gustu. Ty nigdy nie przystaniesz do gromady. Będziesz chodził w pojedynkę, jak wilk. Przejrzałem cię od razu. No, jeżeli człowiek potrafi znieść samotność, a umie szybko strzelać, to może życie w pojedynkę jest dlań najlepsze. Sam nie wiem. Ale tamci chłopcy będą na samotnika patrzyli podejrzliwie. Jeśli tylko znajdą okazję, to cię zabiją.

Stevens kilka razy prosił o wodę. O whisky albo zapomniał, albo nie miał na nią ochoty. Mówił coraz słabszym głosem.

– Leż spokojnie – strofował go Duane. – Męczysz się tym gadaniem.

– Oj! Będę gadał, póki wytrzymam – odpowiedział z uporem ranny. – Słuchaj, bracie, moich rad, bo ci się bardzo przydadzą. Możesz mi wierzyć. Poza tym obozowiskiem zaczniemy – no, zaczniesz spotykać ludzi, jednak żaden z nich nie będzie uczciwy. Swoją drogą nicpoń nicponiowi nierówny. Zdarzają się trochę lepsi. Nad rzeką żyję od dwunastu lat. Są tu trzy wielkie bandy. Kinga Fishera – pewnie go

znasz, bo pół czasu spędza między porządnymi obywatelami. Z Kinga jest całkiem niezły chłop. Dobrze byś zrobił, żebyś przystał do niego. Drugi to Cheseldine¹, trzymający się Rim Rock², tam w górze rzeki. Herszt banitów. Nigdy go nie widziałem, chociaż byłem kiedyś dłużej w jego obozie. Ostatnimi laty wzbogacił się i stale ukrywa się gdzieś dalej. Jeszcze jest Bland – tego znam od wielu lat. O nim nie mogę powiedzieć nic dobrego. Ma największą bandę. Z pewnością prędzej czy później natkniesz się na jego obóz. Właściwie według mnie, to nie obóz, lecz miasteczko. Na pewno karty i rewolwery są tam stale w robocie. Bland zabił ze dwudziestu ludzi, i to nie licząc Meksykańców.

Tu Stevens napił się znowu wody, chwilę odpoczął i mówił dalej:

– Z Blandem byś się nie dogadał. Jesteś przystojny, wysoki, kawał chłopca, a on takich nie lubi, bo ma w obozie kobiety, a jeszcze byłby zazdrosny, że lepiej strzelasz od niego. Ale na pewno byłby też ostrożny. Nie jest głupi i dba o swoją skórę. W każdym razie myślę, że jeżeli nie chcesz obijać się samotnie, to radziłbym ci wybrać jedną z tamtych dwóch band.

Widocznie zasób wiadomości i wskazówek, jakich Stevens chciał udzielić, wyczerpał się na tym, gdyż umilkł i leżał z zamkniętymi oczami. Tymczasem słońce jęło dogrzewać. Wiatr kołysał jądłoszynami. Nadleciały ptaki i pluskały się w płytkim strumieniu. Duane drzemał siedząc wygodnie. Co jakiś czas coś wyrывało go z drzemki. Stevens znów mówił, ale teraz innym głosem.

– Nazywa się... Brown – mamrotał. – Poszło nam... o konia... Ukradłem mu go... w Huntsville. Ale on wpierv go ukradł. Brown... obłudna bestia... boi się wystąpić otwarcie... kradnie, a udaje uczciwego człowieka. Słuchaj, Buck, może kiedyś spotkasz Browna... Teraz my przyjaciele.

– Jeżeli go spotkam, będę pamiętał – powiedział Duane.

¹ *Cheseldine* – postać fikcyjna.

² *Rim Rock* – jest takie miejsce w Teksasie, ale w pobliżu Austin, tu chodzi o skały (ang. *rock*) na skraju (ang. *rim*) kanionu, jakich nie brakuje w pobliżu Rio Grande w zachodnim Teksasie.



Pochował zmarłego w płytkim arroyo i oznaczył grób kopcem kamieni.

Stevens umilkł, najwidoczniej zadowolony. Po chwili chciał unieść głowę i zabrakło mu sił. Ogorzała zbójcka twarz zachodziła dziwną szarością.

– Nogi mi ciążyą. Na pewno zdjął żeś mi buty?

Duane uniósł mu nogi, lecz nie był pewny, czy nieborak je zobaczył. Ranny znów zamknął oczy i mamrotał coś bez sensu. Wreszcie usnął. Duane sądził, że już na wieczność. Dzień upływał, a on czuwał i czekał. Pod wieczór Stevens obudził się i jego oczy zdawały się patrzeć przytomniej. Duane poszedł po świeżą wodę w przewidywaniu, że ranny będzie chciał pić. Ale kiedy wrócił, ten nie dał żadnego znaku, że pragnie cokolwiek. Było w nim coś promiennego.

– Hej, przyjacielu... zostałeś... przy mnie! – wyszeptał Stevens.

Duane wychwycił w jego głosie nutę radości, a na zapadniętej twarzy wyraz lekkiego zdumienia. Przestępca wyglądał wtedy jak małe dziecko.

Dla młodego banity owa chwila była smutna, potężna i wielka, przepełniona niepojętą dlań tajemnicą.

Pochował zmarłego w płytkim arroyo i oznaczył grób kopcem kamieni. Uczyniwszy to, osiodłał konia towarzysza, broń zawiesił na łęku, skoczył na swego wierzchowca i w pogłębiającym się zmierzchu pokłusował szlakiem.



Rozdział IV

Dwa dni później około południa Duane, ciągnąc za sobą konie, wspinał się po niezmiernie urwistym stoku. Po znalezieniu się na wierzchołku Rim Rock ujrzał u swych stóp piękną zieloną dolinę; leniwe, żółte wody Rio Grande rozmigotane w słońcu i rozległe, dzikie, górzyste pustkowia Meksyku rozciągające się ku południowi. Nie napotkał po drodze żadnych podróźnych. Wybrał szlak, który wydał mu się najlepszy z napotkanych. Nie miał pojęcia, dokąd go zaprowadził, jedynie że do rzeki i do tej zamkniętej zewsząd doliny, będącej przypuszczalnie siedzibą któregoś ze sławnych przestępców.

Nic dziwnego, że banda czuła się bezpieczna w tej dzikiej kryjówce! Przez poprzednie dwa dni Duane wspinał się górskim szlakiem, najcięższym i najtrudniejszym ze wszystkich spotkanych przezeń w życiu. Patrząc jednak na spadzisty stok po drugiej stronie uznał, że najgorsza część drogi dopiero go czeka. Sądząc na oko, od rzeki mogło go dzielić dwa tysiące stóp wysokości. Klinowata dolina, zielona od alfalfy i topól, tkwiąca wśród gołych ścian z żółtych skał, dla zmęczonych oczu stanowiła widok dający radość i ulgę. Duane zapragnął znaleźć się co prędzej na dole i poszukać miejsca, w którym mógłby odpocząć. Zaczął się więc spuszczać po stoku.

Okazało się, że szlak nie dopuszczał na powolne schodzenie. Duane uskakiwał co chwila przed kamieniami, które strącały idące za nim konie. W krótkim czasie znalazł się w dolinie, u ostrego wierzchołka jej klina. Spomiędzy skał wypływał strumień przejrzystej wody, której większość przejmowały rowy irygacyjne. Konie piły chciwie. Duane ugasił pragnienie z radosnym dziękczynnym uczuciem, jakiego doświadcza natrafiający na wodę przybyły z pustyni podróźnik. Potem dosiadł konia i zjechał w dolinę ciekawy, jak też zostanie przyjęty.

Dolina była znacznie rozleglejsza, niż można było osądzić oglądając ją z dużej wysokości. Dobrze nawodniona, zielona od trawy i drzew, zaskoczyła młodego przybysza. Widać było, że uprawiają ją wprawne ręce. Wszędzie pasły się konie i bydło. W każdej kępie topól kryły się małe domki z niewypalanej cegły. Na polach pracowali Meksykanie, a tu i ówdzie uwijali się jeźdźcy. Duane minął dom większy od innych z gankiem od frontu. Z drzwi obserwowała go kobieta, jak mu się wydawało, młoda i ładna. Poza nią nikt nie zwrócił na niego uwagi.

Ścieżka rozszerzyła się tam w drogę, a dalej w jakby plac, otoczony prostymi budowlami z niewypalanej cegły i belek. Widać było na nim konie, psy, parę wołów, Meksykanki z dziećmi i białych mężczyzn, wałęsających się leniwie. Przybycie Duane'a nie przyciągnęło nikzyjej uwagi, zanim nie podjechał do kilku białych, tkwiących próżniaczko w cieniu budynku. Najpewniej mieścił się w nim szynk i sklep, a ze środka dobiegał leniwy gwar głosów.

Zaledwie Duane wstrzymał konie, gdy jeden z odpoczywających zerwał się z okrzykiem:

– Niech mnie, jeśli to nie jest koń Luke'a!

Inni, jeżeli nie przekonani, to zaciekawieni, również wstali i podeszli ku przybyszowi.

– Co powiesz, Euchre? Czy to nie gniadosz Luke'a? – pytał pierwszy, który podniósł alarm.

– Tak, widać wyraźnie jak twój nos – odpowiedział Euchre.

– No to nie ma wątpliwości – zaśmiał się któryś. – Nosisko Bosomera wyróżnia się w krajobrazie.

Cała grupa stanęła rzędem przed Duane'em, który przyglądając im się spokojnie pomyślał, że wszędzie rozpoznano by w nich desperado¹. Bosomer, który wystąpił naprzód, był drabem o odpychającej twarzy, z żółtymi ślepiami, olbrzymim nosem, ziemistą cerą i włosami jak słomiana strzecha.

¹ *Desperado* (z hiszp. *desesperado*, desperat, zrozpaczony) – w XIX wieku określano tak na Dzikim Zachodzie przestępców, ludzi wyjętych spod prawa oraz strażników.

– Coś za jeden, obcy, i skądżeś, u ciężkiej cholery, wytrzasnął tego gniadego kunia? – zapytał.

Jego żółte ślepia obeszły spojrzeniem konia Stevensa, zawieszoną na łku siodła broń i wreszcie zatrzymały się, srogie i migocące, na postaci przybysza.

Duane'owi nie spodobał się ton głosu, którym zadano to pytanie i zachował milczenie. Połowę swej uwagi z wielką ciekawością skupiał na tym, co działo się w nim samym. Coś dygotało w jego wnętrzu, ścisnęło mu piersi. Rozpoznał owe dziwne wzburzenie, którego ostatnio często doświadczał i jakie popchnęło go do wyjścia na spotkanie z Bainem. Tylko że teraz było ono inne, znacznie potężniejsze.

– Coś za jeden, przybyszu? – trochę uprzejmiej zapytał drugi z gromady.

– Nazywam się Duane – padła krótka odpowiedź.

– A skądżeś wziął tego kunia?

Duane wyjaśnił to w zwięzłych słowach. Potem zapadło krótkie milczenie. Zebrani przyglądali mu się badawczo. Bosomer zaczął pokręcać koniec swej brody.

– Pewnikiem rzeczywiście nie żyje, bo inaczej nie oddałby nikomu kunia i broni – zauważył Euchre.

– Panie Duane – cicho i zjadliwie odezwał się Bosomer – tak się składa, że byłem współnikiem Luke'a Stevensa.

Duane zmierzył go wzrokiem od zakurzonych, zniszczonych buciorów do obwisłego sombrera. Spojrzenie to wprawiło draba w pasję.

– Mnie się należy ten kuń i te rewolwery! – wrzasnął Bosomer.

– Tobie czy komuś innemu, wszystko mi jedno. Przyprowadziłem konia i już. Ale pakunek jest mój – odparł Duane. – To jeszcze powiem, że zaprzyjaźniłem się z twoim towarzyszem. A jeżeli nie potrafisz być grzeczny, to lepiej trzymaj jęzor za zębami.

– Grzeczny, ja! Ha, ha, ha! – zarechotał przestępca. – Nie wiem, coś za jeden. Skąd mamy wiedzieć, czyś nie przedziurawił Stevensa, nie zabrał mu kunia i nie trafił tu przypadkiem?

– Musicie mi uwierzyć na słowo, nic więcej – odrzekł ostro Duane.

– Niech cię cholera! Nie wierzę twojemu słowu! Słyszysz? A Stevens był moim druhem!

Z tymi słowy Bosomer odwrócił się, rozepchnął towarzyszy i wszedł do szynku, skąd zaczął dobiegać jego ryczący głos.

Duane zsiadł z konia i rzucił cugle.

– Uważaj, chłopcze, ten Bosomer jest w gorącej wodzie kąpany – powiedział Euchre.

Ani on, ani pozostali nie okazywali przybyszowi niechęci.

W tym momencie z szynku wysypało się kilku dalszych przestępców. Na ich czele szedł wysoki mężczyzna potężnej budowy. Swoim zachowaniem okazywał, że on tam rządził. Miał długą twarz, płomiennie rudą brodę i przejrzyste oczy, zimne i niebieskie, którymi bacznie wpatrywał się w Duane’a. Nie wyglądał na Teksańczyka; w gruncie rzeczy Duane w żadnym spośród obecnych nie rozpoznał kogoś urodzonego w jego stanie.

– Jestem Bland – oznajmił władczo wysoki mężczyzna. – Coś za jeden i co tu robisz?

Duane popatrzył na niego tak, jak na wszystkich innych. Herszt bandy mimo braku grzeczności zrobił na nim wrażenie człowieka dorzecznego. Dlatego powtórzył swoją opowieść, dodając tym razem więcej szczegółów.

– Wierzę ci – odrzekł z miejsca Bland. – Raczej zawsze poznam, gdy ktoś kłamie.

– Myślę, że jesteś na dobrym tropie – wtrącił Euchre. – Przekonuje mnie to, że Luke chciał, aby zdjąć mu buty. Stevens zawsze bał się okropnie, że w nich umrze.

Herszt i jego ludzie ten złośliwy żart przyjęli wybuchem śmiechu.

– Czyli nazywasz się Duane, Buck Duane? – dopytywał się Bland. – Czyś przypadkiem nie syn tego Duane’a, rewolwerowca, o którym głośno było przed kilku laty?

– Syn.

– Nigdy go nie spotkałem i wielcem z tego rad – stwierdził Bland z ponurym humorem. – Zatem wpakowałeś się w awanturę, i musiałeś uchodzić przed prawem? Cóż to była za awantura?

– Walka.

– Walka? Czy chodziło o pojedynek rewolwerowy? – pytał Bland wyglądający na podnieconego, zaciekawionego, zamyślonego.

– Tak. Niestety, doszło do pojedynku na strzelanie – odpowiedział Duane.

– Pewnie nie potrzebuję pytać syna Duane’a, czy zabił tamtego – ciągnął ironicznie Bland. – Niedobrze, że zmykanie przed kłopotami przyniosło cię aż tutaj. Skoro jednak tak się stało, to pewnie będziesz dość ostrożny, aby się ulotnić.

– Czy to znaczy, że jestem stąd grzecznie wypraszany? – z całym spokojem zapytał Duane.

– Niezupełnie – jakby z irytacją odparł Bland. – Jeżeli w naszej dolinie nie rządzi wolność, to nie ma jej nigdzie na świecie. Tutaj wszyscy są równi. Czy chciałbyś przystać do mojej bandy?

– Nie, nie chciałbym.

– No, nawet gdybyś chciał, to wątpię, czy to pohamowałoby Bosomera. Paskudny z niego człowiek. Tylko by zabijał. Takich rewolwerowców jak on spotkałem niewiele. Większość z nich jedynie się przechwala. Bosomer co innego, on by tylko żłopał krew. Wyłącznie dla twojego własnego dobra radzę ci: jedź dalej.

– Dziękuję, ale jeżeli tylko o to chodzi, to zostanę – odpowiedział Duane i w trakcie tych słów rozpoznał, że wcale siebie nie zna.

Bosomer ukazał się w drzwiach odpychając tych, którzy próbowali go powstrzymać. Uskoczywszy przed ostatnią wyciągniętą dłoń ręką, warknął jak rozzłoszczony pies. Krótką chwilę, jaką spędził w szynku, przeznaczył na picie i na doprowadzanie się do wściekłości. Bland i inni szybko usunęli się na stronę i Duane został sam. Na widok czujnej nieruchomości młodzieńca u rewolwerowca zaszła nagła zmiana. Stał jak wryty, a wówczas ci, którzy szli za nim, popychali się nawzajem, aby pospieszenie stłoczyć się z boku.

Ujrawszy to szybkie działanie Duane rozpoznał instynktownie jego znaczenie, jak też nagłą zmianę jaka zaszła u Bosomera. Prześtepca był czujny i oczywiście spodziewał się, że przeciwnik usunie się przed nim lub przynajmniej się przestraszy.

Duane wiedział jednak, że tak by nie postąpił. Przeciwnie, czuł się teraz nieugięty, a jednak przelatowały go gorące dreszcze. Miał przy tym wrażenie, że już wiele razy przeżywał podobne chwile.

Jakimś sposobem przejrzał żółtookiego Bosomera. Bandzior wyszedł z zamiarem zabicia go i chociaż postawa młodzieńca pohamowała teraz morderczą rękę, to zamiar pozostał. Jak wielu desperado jego pokroju, był ofiarą zamiłowania do zabijania dla zabijania. Duane domyślał się, że Bosomerem nie powodowała wcale jakaś nagła wrogość, po prostu chciałby skorzystać z okazji do strzelania. W tym momencie zabicie człowieka sprawiłoby mu uciechę. Najpewniej zapomniał nawet o pretekście do zwady i przypuszczalnie zastanawiał się tylko, do czego zdolny jest jego przeciwnik. Nie powiedział jednak ani słowa. Długo stał w miejscu nieruchomo wpatrując się bladymi i niewzruszonymi oczami, z ręką zagiętą na kształt szpona.

Ta chwila pozwoliła Duane'owi odczytać w oczach przeciwnika zamiysł poprzedzający działanie. Sam nie pragnął bynajmniej zabić drugiego człowieka. Widział jednak, że strzelanina jest nieunikniona i postanowił zranić Bosomera. Kiedy ten ruszył ręką, rewolwer Duane'a już pluł ogniem. Padły tylko dwa strzały – oba z broni Duane'a – i bandyta upadł ze strzaskanym prawym ramieniem. Klnąc wściekle, rzucał się w pyle ziemi usiłując lewą ręką dosięgnąć rewolwer. Ale jego towarzysze widząc, że Duane nie chce go zabić i że uczyniłby to tylko, gdyby został zmuszony, otoczyli rannego i nie dopuścili do jego dalszych szaleństw.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!